Nr. 52. Rok 15.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 23. Grudnia 1848.

Jellaczyc, Ban Kroacyj.

Józef Jellaczyc z Buszyna, najstarszy syn feldmarszałka, barona Franciszka Jellaczyca, urodził się 16. Września 1801 roku w Turopolskim komitacie, w małéj wiosce Kuxilowacz. Przodkowie jego, którzy od wieków we wojsku Austryackiém, a osobliwie u granicarzy służyli, należeli do drobnéj Kroackiéj ślachty. Odgrywali oni także mniéj więcéj znaczną rolę w odwiecznych utarczkach na pograniczu Bośnii i Serbii. Ojciec teraźniejszego bana zeszedłszy dość wcześnie z tego świata, zostawił żonę i troje dzieci bez sposobu do życia. Wychowanie zatém młodszych jeszcze dzieci, nie mogło być osobliwe. Szczęściem zajął się losem młodego Józefa przyjaciel jego ojca. Za jego staraniem dostał się do akademii rycerskiéj, gdzie bystrością pojęcia tyle dokazał, że w jedenastym już roku z wielu nowożytnemi obeznajmiony był językami, jako: z Francuzkim, Angielskim, Włoskim i niektóremi dialektami Słowiańskiemi; przez co szczególną zwrócił na siebie uwagę cesarza Franciszka. W ośmnastym roku opuścił akademią rycerską, poczém otrzymał zaraz stopień porucznika w pułku dragonów, stojącym w Galicyi pod dowództwem wuja jego Knesiewicza. Młody, żywy, a przytém przystojny porucznik, wiódł tu dosyć awanturnicze życie, które skrócają i uprzyjemniają nudne chwile po małych miasteczkach prowincyi.

W roku 1830 nareście powrócił po tak długiém oddaleniu do kraju rodzinnego jako kapitan granicarzy Ogulińskich, tych samych, którzy teraz stanowią jego straż przyboczną, a którzy tak dzielnie gospodarowali w zdobyciu Wiednia. — Przez siedm lat przebywał to jako kapitan, ucierając się często z Bośniakami, których często porządnie strzepał. Brak zatrudnienia, romantyczna okolica, dzikie prawie życie tych, którzy go otaczali, jako téj przygody, jakie zwykle na pograniczu wojenném bezustannie wojskowym towarzyszą, wznieciły poetycką iskierkę, tlejącą od młodości w umyśle Józefa, i w tym to czasie zaczął składać narodowe pieśni Kroackie, przez które wzniecił ku sobie przywiązanie w swoim narodzie. — W r. 1837 nieco świetniejszéj doczekał się chwili. Został bowiem adjutantem gubernatora ówczesnego Dalmacyi, hrabiego Lilienburga, gdzie poznał całą mechanikę Austryackiego rządu. Zawikłane stósunki z Montenegro, do których załatwienia od gubernatora on był wezwany, ułatwiły mu przystęp do rządzenia. Nie wywiązał się jednakowoż tu tak korzystnie za okazane mu ze strony rządu Austryackiego zaufanie, jak w kilka lat późniéj, gdy go zamianowano pułkownikiem granicarzy. Napadnięty bowiem od Bośniaków r. 1845, nie tylko ich odparł, lecz przeszedł nawet Drawę, pobił nieprzyjaciela w potyczce pod Poswid i wkroczył do ich kraju, paląc i niszcząc ich siedziby; — z kąd je-

dnakowoż wyparty został, lecz z małą tylko stratą. — Podobny sposób prowadzenia wojny, pełen mordów, pożogów, czyż nie jest zdolny dzikiém uczynić najczulsze nawet serce, a cóż dopiero i tak już twarde Kroaty? Nie dziw więc, że na mordy i okrucieństwa Wiedeńskie obojętném poglądał okiem.

Jak dalece pozbawiony jest Jellaczyc wszelkiego uczucia, przedstawi nam obraz zdjęty z jego życia. Po śmierci ojca jego, jakżeśmy wzmiankowali, zostawała rodzina cała w jak najsmutniejszém położeniu. Smutne położenie stało się dobrodziejstwami przyjaciół znośniejsze. Pomiędzy dobroczyńcami szczególniéj się odznaczył zarządca rodzinnéj jego wioski, który wspierał jego matkę, o ile własne jego stósunki na to pozwalały. Żona zaś zarządcy nie mniéj była troskliwą nieszczęśliwéj rodziny opiekunką. Podczas choroby młodego Józefa pielęgnowała go tak troskliwie jak własna matka. Teraz zaś, gdy Jellaczyc jako ban Kroacyj i nieprzyjaciel Węgier wystąpił, obsadził także wojskiem swojém rodzinne ustronie. Rozkazał pojmać swoją troskliwą opiekunkę, za to, iż sprzyjała Węgrom, jako téż i jéj krewniaka, Karola Spissicha, młodości przyjaciela, i do Agramu przyprowadzić. Cała majętność przez żołnierzy obsadzona, została spustoszona; kościół, w którym opiekunka modły gorące do niebios za niego wznosiła, złupiony. — Wszakże to piękny obraz wdzięczności?!

Dni Marcowe roku 1848, które tyle dzielnych, ale też i nędznych harakterów z ukrycia wywołały, nie mniéj sprzyjały Jellaczycowi. Walka nie tylko o zasady polityczne, lecz także o narodowość, jak między mieszkańcami Szleswigu i Duńczykami, Czechami i Niemcami, Polakami i Prusakami wywołana, objawiła się także między południowymi Słowakami i Madziarami. Słowacy powstawszy z uśpienia narodowego, stanęli ku jéj obronie jako jeden mąż. Brakło im tylko na dowódzcy. Wkrótce wszystkich oczy obrócone były na Jellaczyca, którego dowódzcą powstania ogłosili. Rząd Austryacki nie ukończywszy jeszcze sprawy z Madziarami, nie wdawał się pozornie w ich sprawę, w istocie zaś saméj troskliwie wzniecał w nich nienawiść ku Madziarom. Jellaczyca zaś stopniowo, aż do godności feldmarszałka wyniosł. Jednakowoż, godność tak prędko nabyta, w takich czasach, była bardzo śliska, zwłaszcza, że Madziary jeszcze dość silną partyą na dworze cesarskim mieli. I w saméj rzeczy wyszedł manifest cesarski, 10. Czerwca w Inspruku datowany, do Kroatów i Słowaków, w którym baron Jellaczyc jako zdrajca stanu ogłoszony, do Inspruka powołany został. Wszystkie zarządy państwa zostały mu odjęte pod zagrożeniem kary; Jellaczyc jednakowoż nie usłuchał rozkazu cesarskiego, kazał się deputowanym banem ogłosić, zwołał sejm do Agramu i potém dopiero udał się do wyznaczonego sobie miejsca, dla uniewinnienia siebie, gdzie zamiast jako zdrajcą stanu, z pochodniami i okrzykami radości tak w mieście, jako i téż na dworze cesarskim, go przyjęto. Z tego się pokazuje, że Jellaczyc wiedział, co czynił. Tu miała się sprawa Madziarsko-Słowiańska przez porozumienie się wzajemne ukończyć. Zjechał także na ten cel prezes ministerstwa Madziarskiego, hrabia Bathyany. Rozprawa między nim a Jellaczycem długo trwała, lecz na próżno; nie mogli się porozumieć. W największém oburzeniu rozeszli się. Bathyany miał przed odejściem jeszcze do Jellaczyca te słowa powiedzieć: „Nad Drawą (granicą Kroacyj) zobaczemy się;“ na co ze drwieniem miał mu Jellaczyc odpowiedzieć: „Nie nad Drawą, lecz nad Dunajem.“ — Jako téż w istocie tak się stało.

Jellaczyc z początku od swoich wodzem obrany, dla bronienia narodowości Słowiańskiéj, a na którym cała uciemiężona Słowiańszczyzna swe całe nadzieje pokładała, nie zrozumiał, albo raczéj niechciał zrozumieć swego posłannictwa, i wolał zgruchotane berło cesarskie skleić, jak części już przysposobione do całości Słowian silnym połączyć węzłem, dla tego też stracił zaufanie u wielu Słowiańskich szczepów, którzy wolą walczyć przeciw krwi bratniéj, aby ich z błędu wydobyć, aniżeli siedzieć neutralnie, bo wiedzą, iż przez to wsparłaby się i wzmocniła tylko Austrya i żelazném berłem cisnęłaby wszystkich bez różnicy, czy to tych, którzy byli jéj nieprzyjaciołmi, czy też sprzymierzyńcami.

W. W.

Kościelisko w Tatrach.

(Dokończenie.)

Około godziny piątéj stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca. Wybucha ono czarnemi bałwanami, z wielkiém szumem, z o-

tworu pieczary znajdującéj się w podnożach U-płazu. Naga, skalista ściana podnosi się dosyć wysoko około otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających Kościelisko. Miękki jéj kamień, okryty jest napisami z rozmaitego kształtu, rozmaitéj mowy, rozmaitego znaczenia, imionami i nazwiskami osób wszelkiéj płci, wieku, stanu i narodu. Ważne to są bez wątpienia rzeczy, ale mnie zajmowało źródło i pieczara, z któréj biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści; jedni powiadali, że zwiedzali ją z pochodniami; że po długiéj, trudnéj i chłodnéj wędrówce, doszli nareszcie do ogromnéj sali, ubranéj w kolumny i sztukaterye z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła jakby dyamentowa; że w pośrodku stoi małe jeziorko, które jest właściwém źródłem Dunajca. Odtrąciwszy przydatki o podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją stalaktyty. Inni utrzymywali, że tę pieczarę ukuli kiedyś górnicy, dobywający ztamtąd śrebro; w tém nie widziałem poetycznéj strony. Niektórzy twierdzili, że trzy dni i trzy noce iść potrzeba, aby dojść do źródła; że nawet po téj wędrówce można się było obaczyć na wierzchołku jakiéjś góry; na tobym się nie odważył; inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze obudzało mieszkającego tam ducha, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. To mi się podobało, zachciałem być przyczyną burzy i postanowiłem w siedlisku ducha rozpuścić ziemskie światło; dzisiaj miałem to dopełnić. Opatrzony w potrzebne materyały, jakoto: świéczki woskowe, zapałki chemiczne, ołówek do zapisania się na ścianach tajemniczéj sali, wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świéczkę, i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągłe, wklęsłe, wysokość rosłego mężczyzny; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa połowa ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgła mało co wyżéj nad kolana, parła mnie wciąż napowrót ku żyjącemu światu; dno tak nierówne i ślizkie, że wciąż byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się, nie obeszło się bez zamoczenia się kilkokrotnego, po same pachy prawie. Trzymałem się jak mógłem, chodziło mi najwięcéj o światło, bez którego, czułem, żleby było w miejscu obcém, ciemném i wodą porywającą zalaném.

Z takim trudem postępowałem szczęśliwie naprzód, szum wody co raz głuszéj rozbijał się w podziemiu, ale dotąd szedłem w prostéj linii i miałem jeszcze za towarzysza troche dnia w otwór zazierającego; razem pośliznąłem się, upadłem i świéca zgasła; chciałem korzystać z zapałek, na nic się nie przydały; powietrze w podziemiu przesiąkłe wilgocią, a nawet mały wietrzyk, zapewne od nadzwyczajnego prądu wody, zgasiły każdy siarniczek; i w końcu musiałem się wycofać.

Zapaliwszy na nowo świécę przed otworem, puściłem się weń powtórnie; ostrożniejszy już przez doświadczenie i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiągnąłem kresu pierwszéj wyprawy, świecę zasłaniałem jak mógłem; dotrzymywała placu, jednak jéj światło coraz bardziéj mdlało; w zakręcie podziemia straciłem teraz jego otwór; grube ciemności w koło mię otoczyły; bałwany wody za każdym krokiem silniéj uderzały i chuczały głośniéj; stanąłem chwilę; huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącéj mnie po nogach fali, harmonia z tysiąca najsprzeczniejszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiéj nic podobnego w całém życiu nie słyszałem, prawdziwe echo oddalonego piekła, ogłuszały mię na prawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu; zdało mi się, że w téj chwili musiały się otworzyć najciemniejsze tajniki duszy; postacie nieżywego świata zaczęły przelatywać się po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakaś poczwara, nieznajoma dotąd światłu, objawi mi się przy konającym blasku mojéj świéczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnice podań; szedłem jednak; wkrótce pęd wody wolnieje, trafiam nogą na tram kilkołokciowy, obrobiony ludzką ręką — co on tu robił, nie potrafię wytłumaczyć — opierając się ręką o skały, napotkałem szkło potłuczone; przecie tu człowiek być musiał; i oto ujrzałem się w próżnéj przestrzeni, mającéj kilkanaście kroków obwodu; ale tak nisko zasklepionéj, że ledwie wyprostować się mógłem; główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś, dno jego zalewająca, była cichsza i płytsza; zboczyłem kilka kroków, wstąpiłem na kamień, aby strętwiałe od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie,

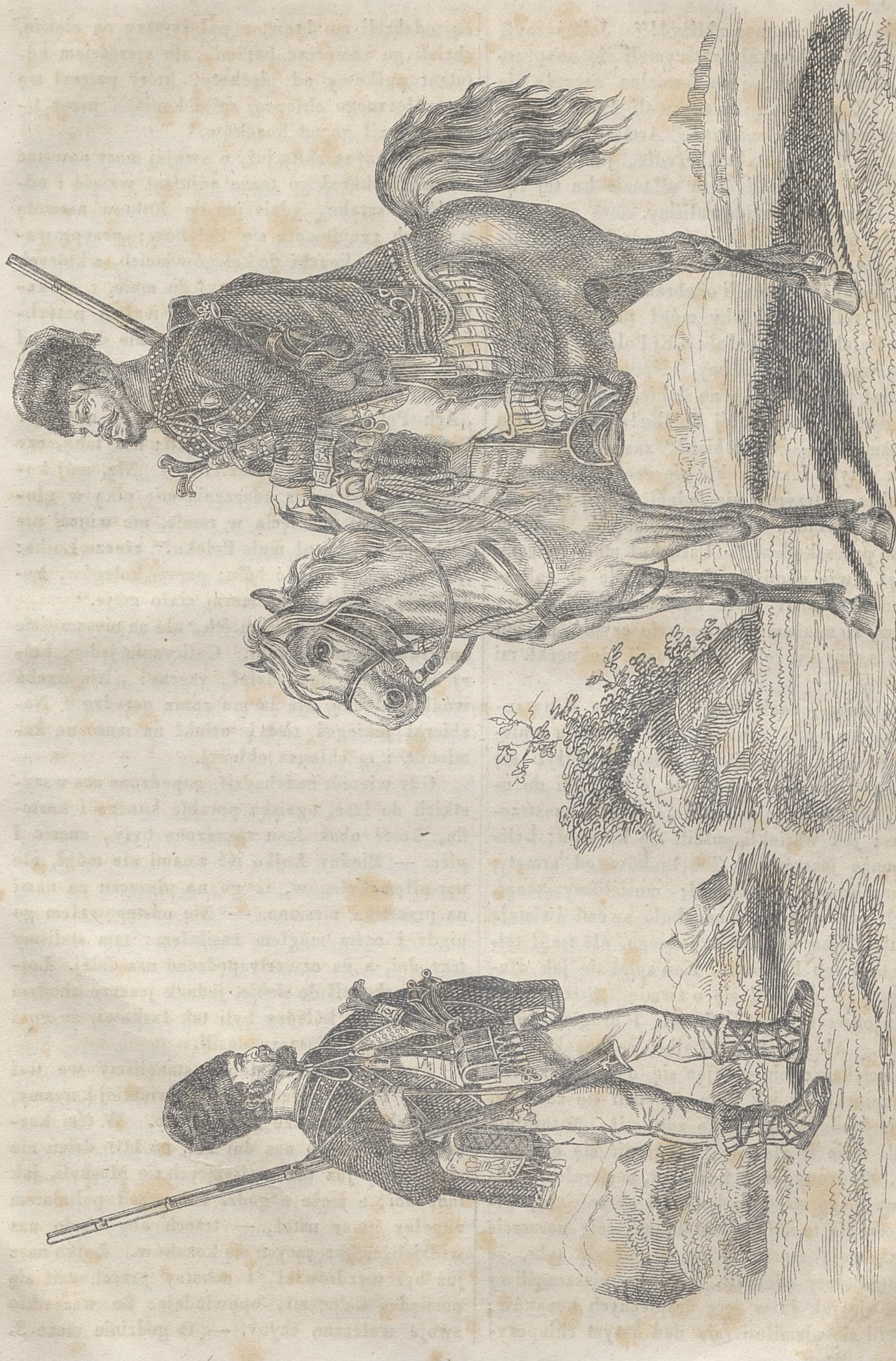
ale świéca widoczniéj coraz groziła zagaśnieniem; nie zważając na to, wstępuję znowu na dawną drogę, pomykam się do korytarza, zkąd ona pędzi; wtém dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtóre światło. Jedna była droga, którą przyszedłem; łatwo więc, choć omackiem, trafiłem na nią, trzymając się fal najsilniejszych, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy nazajutrz. Tą razą puściłem się z latarnią; wrażenie podziemnéj zgrozy, słabiéj już na mnie działało; większa świéca, szkłem dobrze osłoniona, przedstawiała mi podziemie jaśniéj; rozpatrywałem dłużéj sklepienie, gdzie wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałéj wilgoci; nakoniec posunąłem się daléj; z początku zdało mi się, że podziemie rozgałęzia się na kilka uliczek; obejrzałem każdą; niektóre kończyły się na kilku łokciach, inne obiegały tylko jaki głaz i łączyły się z główną; z téj jednéj przeto obiecywałem sobie piękne rzeczy; cieszyłem się naprzód radością, jakiéj doznałem, stanąwszy w owéj sali, która w miejscu podobném musiałaby osobliwy przedstawiać widok; tymczasem sklepienie w kąt wycięte, co raz się bardziéj zniżało i zwężało; chyliłem się ile możności, przysiadałem, i w krótce poznałem, że nikt daléj iść nie potrafi. Woda leciała wprawdzie obficie i gwałtownie, ale już tylko ze szczeliny tak ciasnéj, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby dla niskiego sklepienia odważył się pod wodę nurkować. Tum zakończył podziemną podróż i zaspokoił moją ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niéj na przedmioty nadzwyczajne, chcę wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odemnie, potrafi głębiéj się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. I z tego com dokonał i z chwili przepędzonéj w podziemiu źródła, pozostały mi tak przyjemne wspomnienia, że jeszczebym chętnie powtórzył tę wyprawę, nawet z nadzieją moralnéj zdobyczy. W niezwyczajném tylko położeniu rodzą się niepowszednie myśli.

Kurpik Łojko, młody rycerz Polski.

(Dokończenie.)

„Ach Polaku, nie perswaduj! to jest mój ojciec i moje wszystko, a drugiego już mieć nie mogę. Powiedz, gdzież się teraz podzieję?“ klęknął przy nogach starca, i ciche nad nim odmawiał pacierze, a potém zawołał: „Zobaczmy Polaku kochany, gdzie go moja trafiła kula.“ Zaczęliśmy go rewidować, znaleźliśmy w piersiach znaczną ranę, z któréj świeżo zawrzana krew ściekała, a nad nią od piki kozackiéj przebite ciało. — Twarz zaś tak zraniona i obewrzała, że zaledwo ślady onéj uznać można było. „Tak,“ rzecze Łojko, „niech w Bogu spoczywa! uwolniłem go od dłuższéj męki, bo śmierć jego zawsze pewna była. Ale moi bracia gdzie leżą? pojdźmy szukać ich, aby po śmierci ich widzieć.“...... Znaleźliśmy ich nie daleko od siebie leżących, snem wiecznym ujętych. „Oto Polaku nasza nagroda! Co nasza biedna matka powie, gdy o śmierci ojca i dzieci odbierze wiadomość? Płakać już nie mogę nad wami, moi bracia, bo wszystkie za ojca łzy się wytoczyły. — Nie tęsknijcie bezemnie, bo może nie zadługo i ja do was przybędę.“ Przytomny téj scenie chłopczyny, nie mogłem wstrzymać łez, które się z mych oczu wydobywały. „Co? ty płaczesz Polaku,“ rzecze do mnie; „nie płacz, bo może nad nami ani jednéj łezki nikt nie uroni, gdy nas Moskal zabije.“...... Wtém spostrzega pod lasem, ale jeszcze od nas daleko, uwijających się kozaków; tu znów z za górki i konno i pieszo wychodzących. „Patrz! patrz Polaku! zawoła. Oto znów rozbójniki nadchodzą; umykajmy w jaką stronę, aby nas nie spostrzegli. A tak zabraliśmy po ojcu i po braciach jego fuzyjki; ja dwie, Łojko dwie, i sporym krokiem w przeciwną udaliśmy się stronę.

Spostrzegli nas kozaki. Przypuściło kilku za nami, ale stanąwszy na pobojowisku, zatrzymali się, zeszli z koni i zaczęli rewidować trupów, zapewne szukając u nich pieniędzy. My tymczasem coraz daléj ku błotnistéj posuwaliśmy się sporym krokiem łące, i tam się w zaroślach ukryliśmy. Być może, że nie do nas, ale na pobojowisko, dla zdobyczy, spieszyli. Ale nie wyszło pół godziny, gdy mocny huk dział w pobliskości dał się nam słyszeć. Podnieśliśmy się cokolwiek, słuchamy i patrzymy, w któréj stronie potyczka. A tu widać w nieładzie cofających się Moskali, a Polacy tuż za nimi; Łojko uśmiechnąwszy się, podskoczył: „Ach to nasi! to nasi biją Moskali! Daj Boże,



Serassanin pieszy. Serassanin konny, z obozu Jellaczyca.

żeby się mogli do nas zbliżyć!“ Jak życzył, tak się stało; Moskale zatrzymali się na przeszłém pobojowisku, i tu formalna zaczęła się bitwa. Z początku awansowali Polacy, ale wkrótce zaczęli się mieszać. Armatę, która ubocznie na lewém stała skrzydle, już Moskale zdobyli i uprowadzili, i to właśnie ku téj łące, na któréj się znajdowaliśmy.

Mały oddział Polaków popędził się za nimi, chcąc ją odbić napowrót, lecz nadjechało więcéj kozaków i bronili odebrania. Łojko, który drzał tylko, rychłoby mógł pozyskać porę dojścia Polaków, zawołał: „Ej Polaku, już dłużéj nie wytrzymam; idźmy, idźmy na ratunek!“ Zawdział jednę fuzyjkę na siebie, a dwie wziął w obydwie ręce. „Daléj Polaku! weź czwartą i spieszmy.“ — „Co robisz?“ zawołam; „czyż możesz z tylu fuzyami bić się zręcznie! porzuć wszystkie, a trzymaj się jednéj, którą tyle nabiłeś już Moskali. Zamiast pomagać, będą ci owszem przeszkadzać.“ Usłuchał mnie przecie. Włożył dwie pomiędzy krzaki, ale do zabrania jednéj zmusił mnie koniecznie. Nie wiedziałem, co miałem w tym razie czynić, bo ból wielki z rany, w rękę odniesionéj, dokuczał mi wiele.

Wziąłem jednak flintkę, i na los ślepy ruszyliśmy ku owéj armacie. — Kilkunastu z piechoty Moskali i naszych, właśnie złożyli się przy owéj armacie na bagnety, i walczyli do upadku, wydzierając onę sobie. Kozaki spostrzegli nas; jak wściekli puścili się ku nam; byliśmy może jeszcze na 300 kroków od armaty, gdy nas kozaki zatrzymali; musieliśmy stanąć. Wzięli nas w koło, i na około swémi świstają pikami; Łojko wypalił do jednego, ale trafił tylko w sam łeb koniowi. Koń spiął się jak długi wysoko i powalił się o ziemię. Strzelił zaraz na odwrót z mojéj flintki, i drugiego ubił kozaka. Ale spostrzega Łojko, że kozaki z armatą uciekają; nie pytając się o tych, którzy nas napastowali; jak kula popędził się za nimi, a mnie biednego z flintką zostawił. Naturalnie zabrali mnie w niewolę, bo bronić się nie mógłem. Pędzony przez kozaków, pozierałem chciwie na mego młodego kolegę i obroniciela; widziałem, ile ta chłopczyna dokazywał; nareszcie przez swoją zręczność przyczynił się tyle, że armatę Polacy odebrali, ale sam nieszczęśliwy dostał się jak ja w ręce drapieżnych kozaków; pastwili się niemiłosiernie nad owym chłopczyną, odebrali mu broń, a położywszy na ziemię, chcieli go zamęczyć batami, ale szczęściem adjutant pułkowy od piechoty, który patrzał się na walecznego chłopca, spiął konia, i przez litość obronił go od kozaków.

Chłopczyna zbity już, o swojéj mocy powstać nie mógł; kazał go tenże adjutant wziąść i odnieść do sztabu, gdzie już do 30stu w niewolę wziętych znajdowało się Polaków; przyprowadzili i mnie kozaki do kolegów moich, z których znajomek dawny przyskoczył do mnie, i ściskaliśmy się nie do nasycenia. Pobiegłem natychmiast do owego Kurpika Łojko, nie daleko od nas na ziemi złożonego. „Jak się masz Łojko?“ rzekę do niego. Łojko spojrzawszy na mnie: „Ach Polaku! i ty znów ze mną w niewoli? Patrzaj, jak mnie brodacze zbili; a z tobą, czy tak jak ze mną się obeszli?“ — „Nie, mój kochany Łojko; prócz uderzenia mię piką w głowę i małego pchnięcia w ramie, nic więcéj nie zrobili.“ — „Ratuj mnie Polaku!“ rzecze Łojko: „bo nie mogę znieść bólu; poproś kolegów, może mają wódkę, a nasmaruj ciało moje.“

Udałem się do braci moich, ale na nieszczęście ani jeden nie miał wódki. Galicyanin jeden, który się o tém dowiedział, rzecze: „Nie trzeba wódki na ranę, ale ja mu zaraz poradzę.“ Nazbierał jakiegoś ziela, utłukł na maść na kamieniu, i tą chłopca obłożył.

Gdy wieczór nadchodził, zapędzono nas wszystkich do lasu, ogniska porobić kazano i kartofle, które obok lasu zasadzone były, znosić i piéc. — Biedny Łojko iść z nami nie mógł, ale uprosiłem kolegów, iż go na płaszczu za nami na przemian niesiono. — Nie odstępowałem go nigdy i czém mógłem zasilałem; tam staliśmy trzy dni, a na czwarty pędzono nas daléj. Łojko przychodził do siebie, jednak jeszcze chodzić nie mógł, a koledzy byli tak łaskawi, że go i ten dzień na płaszczu nosili.

Przed zachodem słońca stanęliśmy we wsi Sytka. Tam wpędzono nas do wielkiéj karczmy, pozamykano i straże rozstawiono. W tém karczmisku trzymano nas dni 10., na 11ty dzień nie słyszeliśmy już tak uwijających się Moskali, jak inne dni, a może o godz. 10. przed południem zupełny gwar ustał, — trzech aby około nas widzieliśmy kręcących się kozaków. Łojko nasz już był wyzdrowiał, i ochotny przechodził się pomiędzy kolegami, opowiadając im wszystkie swoje waleczne czyny. — O godzinie może 3.

z południa nadjechało do karczmy kilku kozaków z raportem, ażeby nas na pierwsze zawołanie będący na straży kozacy z téj stajni wyprowadzili, i do pobliskiego lasu z nami uszli, ponieważ Polacy pokazali się tu ztąd nie daleko; zrozumieliśmy bardzo dobrze, co kozacy kozakom opowiadali. „Ach daj Boże!“ rzecze jeden, „aby tu nadeszli, a nas odbili!“

W momencie słychać tentent koni. Trzech officerów Ruskich, t. j.: pułkownik, i dwóch niższéj rangi, z trzema kozakami, wpadają do stajni. — Nic do nas nie mówiąc, latają i przeglądają wszystkich. — Pułkownik — który zdawał się być łagodnym, okazało się w krótce, iż nieludzkość jego, a bardziéj brutalstwo, w najwyższym stopniu główną jego było cechą — spostrzegłszy zaraz przy wchodzie, czyli wrotach karczmy, młodego Łojko, pyta się, coby ten mołodec tu znaczył? — Ale Łojko odzywa się natychmiast: „Nie mołodec, ale dobry i bitny żołnierz.“ Na to z uśmiechem a bardziéj z szyderstwem odpowie mu pułkownik: „Z czto? ty żołnierz? sołdat? katoreho ty połku?“ — „Pułku strzelców celnych ze 4téj kompanii Kurpików,“ odpowiedział Łojko. — „Ty ptasznik, ne sołdat; dołzno tobie petaszki w lesach strelat, za czém ty suda pryszał?“ — „Jak byłem w domu strzelałem ptaszki, a tu strzelałem Moskali.“ Pułkownik z passyą: „A skołko ubił ty Moskali?“ — „Przez całą wojnę więcéj jak 40 ubiłem, a najwięcéj oficerów.“ — „Ty sorok 40 ubił?“ i wtém krzyknie na kozaków: „Kozaki! Etoj mołodec soroka naszych pożył (zabił), wezmite eteho smiłeho kreczka (smarkacza) e naliczat e temu sorok bolnych peletniow“ (i naliczcie mu 40 srogich batów)..... Wtém rzucają się przy ich boku będący kozacy na młodego Łojko. Łojko jak piorun skoczył pomiędzy swoich. „Brońcie mię bracia! wszakże nas więcéj jak Moskali! bo żebym miał broń w ręku, czybym żył, lub nie żył, pozabijałbym szelmów.“

Z naszych jeden dobrego wychowania młodzieniec, Bogusław Wrębowicz, szambelanic z Galicyi, wystąpił naprzód i prosił w Francuskim języku pułkownika o darowanie winy młodemu Kurpikowi; lecz pułkownik, jak dzika bestya, szarpnął młodzieńca, plunął w twarz jego, i w dolną część brzucha nogą kopnął, aż biedny upadł zemdlony.

Ale któż i tu mógł się spodziewać odwagi młodego Kurpika Łojko, bo skoro spostrzegł brutalstwo i okrutne obchodzenie się pułkownika, dopadł żywo do stojącego na straży starego kozaka, wyrywa mu niespodzianie z rąk pikę, i z największą zapalczywością topi w pułkowniku — i: „Oto masz Moskalu, teraz poniewieraj Polaków!“

Na ten rozruch uciekają stare brodacze ze straży, a dwaj oficerowie wraz z kozakami dobywają pałaszy, i chcą jednego po drugim onymi rąbać, jako też zaraz mocno ranili blisko nich stojącego żołnierza. — Polacy widząc, że zupełnie na złe się zanosi. „Ej w imie Boga,“ zawoła jeden, „raz żyć, raz umierać; nie dajmy się poniewierać;“ i wtém jedni wpadają na oficerów, i duszą, i sieką; a drudzy zatrzymali uciekających kozaków i życia nie przepuszczają. Młody zaś Łojko wykrzyknął: „Chwała Bogu! nasza wygrana!“

W ten czas widząc się wolnymi, wyszliśmy wszyscy z owéj karczmy, w któréj ani kota, jak równie w całéj wsi, widać nie było. Co sił starczyło, uciekaliśmy z tego miejsca. Weszliśmy w nie daleko leżący ode wsi lasek, i tam słuchaliśmy pilnie, czyli gdzie Moskali nie widać; ale nie, nigdzie ich nie było. Wtém z kolegów jeden krzyknie: „Ach! patrzajcie! patrzajcie! Co Moskali widać z tamtego wychodzących lasu.“ Przelęknieni wszyscy, zbiwszy się w kupkę, patrzymy z biciem serca, w którą stronę się obrócą. Nareszcie mały Łojko pobiegł może o jakie 300 kroków, wdrapał się na drzewo i wkrótce zagrzmiał głos po lesie: „To nie Moskale! to nie Moskale! to nasi! to są nasi,“ i...... zgadł. Pospieszyliśmy się co żywo ku końcowi lasu, i przekonaliśmy się, że Łojko miał prawdę. Ruszyliśmy natychmiast jak do attaku, i przez pole ile który mógł spieszyliśmy do nich.

O! jakaż była nasza radość i uciecha, gdyśmy strzelców celnych Rożyckiego, to jest 1. batalion i 4tą kompanią natrafili Kurpików; ściskaliśmy się jak bracia i opowiadali nasze przygody życia; oni nawzajem opowiadali nam, jakim sposobem odłączyli się od pułku, i że teraz partyzantską prowadzą wojnę. Ale jakże tu określić radosną chwilę, gdy Łojko swoją poznał kompanią i swoich kolegów, a najbardziéj kapitana i dowódzcę swego Giedroicza, którego trzykroć obronił od nieprzyjaciela; wydzierali go sobie z radości, i witali czule młodego swojego

rycerza. Łojko zaś przez łzy radości i przywiązania wynurzał im najczulsze ukontentowanie.

Batalion ten partyzantów z kompanią Kurpików stanął w bliskim lesie i spoczywał w nim noc całą. Tam z rozkazu dowódzcy rozdano nam żywność przyzwoitą i broń; ja ponieważ żadnéj broni użyć nie mógłem, szedłem przy armatach. Mieli ich dwie nie wielkie, jednę Ruską trzyfuntową, a drugą Polską, za króla Stanisława laną, 4ro-funtową.

Włóczyliśmy się długo, daleko od Polskiéj armii oddaleni; prowadzono nas nareszcie stronami od granicy Austryackiéj; w téj podróży nie mieliśmy żadnéj potyczki z Moskalami, dopiero nie daleko Puław, gdzie właśnie ostrzeżono nas, że Moskale nie daleko stoją. Nie wierzyliśmy zrazu, ale oto z rana wpada do obozu dowódzca: „Dzieci! dzieci! dwa pułki dragonów Ruskich nie daleko od nas stoją. Miéjcie się na baczności! Oni o nas nie wiedzą; może uda się sztuka, że ich rozbijemy.“ Wtém przyprowadzono żyda, który podjął się zrobić przegląd Moskali. Nad wieczorem podjął się Łojko téj sprawy; przebrany jako chłopak od paszenia bydła poszedł śmiało z owym żydem: „Ale pamiętaj żydzie!“ rzecze Łojko do niego, „jeżeli mnie niebezpiecznie prowadzić będziesz, pierwszemu tobie w łeb wypalę,“ i poszli. Gdy się zmierzchać dobrze zaczęło, stanęli nie daleko od obozu Moskali. Łojko nie kontent, co mu żyd zaręczał; ale czekał, co się daléj stanie.

Nareszcie gdy się przekonał, że dragoni na spoczynek jak najbezpieczniéj się zabierają, co tylko mógł spieszył do swoich, oznajmić dowódzcy, jak się rzeczy mają. Było to może około godziny pierwszéj z północy, gdy wyruszyliśmy niebawem, przez śpiega prowadzeni, ku obozowi dragonów; zastaliśmy ich wszystkich spokojnie uśpionych, a nawet porozbieranych.

W ten czas dopiero na głos: hura! hura! wpadamy na cały obóz i śpiących mordujemy; zabraliśmy niemal całe obydwa pułki, bo nie wielka liczba pieszo i konno w koszulach tylko była w stanie pouciekać! Łojko nasz cudów męstwa dokazywał, uwijał się w czasie bitwy jak w tańcu; ale nareszcie zbytniéj swéj odwagi i śmiałości padł nieszczęśliwy chłopczyna ofiarą, zarąbany przez dragonów.

My zaś, to jest cały batalion Rożyckiego, z Kurpikami, posiadaliśmy na zdobyte konie dragońskie, i w największéj radości śpieszyliśmy do Warszawy. Świadkiem jest cała Warszawa, gdyśmy do miasta na dragońskich koniach, a w środku pieszo pomiędzy nami idące dwa pułki dragonów, wjeżdżali, i od wszystkich przytomnych z największemi oklaskami radości przyjęci byli.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: X. *Fr. Wawrowski.*)

UWIADOMIENIE.

PRZYJACIEL LUDU
od roku 5go do 14go,

którego cena bardzo zniżona

8 Złp. za rocznik.

Kto te dziesięć roczników razem zakupi, otrzyma je za 10 Tal.; oprócz tego jako premią część piérwszą ważnego dzieła: „Mała Encyklopedya polska", gratis.

Wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne przyjmują na nie zamówienia.

Nad wartością pisma tego długo rozwodzić nam się nie trzeba. Jest ono skarbcem, do którego już rok 15ty zbierają się wszelkie pamiątki narodowe dawniejszych i nowszych czasów. Zawiera nie mało przedmiotów z dziejów ojczystych i pamiętników, z historyi obyczajów i zwyczajów, jeografii, historyi naturalnéj; wiele powieści i powiastek, poezyj i pieśni ludu. Mnóstwo rycin nie mało przyczynia się do jego ważności, między któremi wiele znajduje się rzadkich i ciekawych. — Cały Przyjaciel ludu stanowi małą bibliotekę, któraby w każdym domu, w każdéj familii być winna. Dla ułatwienia nabycia, postanowiła księgarnia niżéj podpisana zniżyć ceny wzwyż wymienionych roczników z *3ch Tal.* na *8 Złp.*

Roku 1go i 2go zupełnie brakuje w handlu. Roku zaś 3go i 4go kilkanaście jeszcze eksemplarzy jest w zapasie, i te przedają się po 15 Złp. Cena zaś ukończonego rocznika 15go nie zniża się, lecz zostaje Tal. 3.

Zapisywać można po wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych.

Leszno i Gniezno, dnia 31. Grudnia 1848.

Księgarnia Ernesta Günthera.